

Teksty Drugie 2010, 1-2, s. 84-90



Negocjacje w sprawie literatury.

Inga Iwasiów

Inga IWASIÓW

Negocjacje w sprawie literatury

Miejsce literatury we współczesnej kulturze jest niejednoznaczne. Z jednej strony to, co bylibyśmy skłonni, patrząc z gabinetów na wydziałach filologicznych, nazywać literaturą, samo siebie postrzega jako zmarginalizowane, osaczone przez popkulturowe symulakry, wyciągając z tego położenia wnioski – zagrożona egzystencja dzieł sztuki słowa i ludzi kultury to temat przewodni narracji książkowych i towarzyszących im debat. Z drugiej strony: książki sprzedaje się dziś w hipermarketach, w sieci, dodaje egzemplarze do gazet, bezkarnie powiela, czyni kanwą filmów, gier komputerowych, a autorów zaprasza do rozmów w telewizji dla masowego odbiorcy. Trudno wyznaczyć granice i powiedzieć odpowiedzialnie: poezja Marcina Świetlickiego oraz powieści Jacka Dukaja w całości i nieodwołanie należą do wysokiej sztuki, natomiast Katarzynę Grocholę oraz Andrzeja Sapkowskiego wpiszy na listę rozrywki. „Teksty Drugie” i niszowe kwartalniki literackie to miejsca przyjazne niezależnemu życiu literackiemu, tygodniki, dzienniki, zwłaszcza zaś kolorowa prasa pasożytują na literaturze tak samo jak na sensacyjnych doniesieniach z życia polityków. Chciałabym zaznaczać, znać linie przejścia, jednak patrząc na kulturę jako dynamiczną całość muszę uznać płynność kryteriów, zwłaszcza gdy biorę pod uwagę rolę umasowionej komunikacji i profil współczesnego odbiorcy. Tak, narracje można dziś chłonąć także poza biblioteką i poza wypieszczonymi w szacownych wydawnictwach okładkami. Przy każdej okazji postuluję obronę utopijnego tworu nazywanego „prawdziwą sztuką”, ponieważ gniewa mnie powszechne przekonanie, że najważniejsze są nakłady i popularność, nie liczy się tajemnicza immanencja dzieła, wykluczająca profanów. Mój postulat ma charakter ściśle dydaktyczny – uważam, że nie należy upraszczać spisów lektur szkolnych i akademickich, przystając na rozmowę o współczesnych czytadłach

w miejsce trudniejszych rozbiórek „nieaktualnego” kanonu. Kiedy odpowiadam na pytanie: czym jest literatura dzisiaj, muszę przyznać, że sam jej byt pośredni, w przeciągu globalnej komunikacji, wobec dominacji mediów i snutych na wielką skalę narracji popularnych uległ paradoksalnemu wyciszeniu i pogłośnieniu. Jako osoba żyjąca literaturą nie mogę udawać, że przedmiot moich starań umarł, muszę przyznać, że ulega metamorfozom. Zamiast odprawiać żałobę po utraconych znaczeniach – elitarnego przekazu, autorytatywnych rozstrzygnięć, wielkich postaci, diagnoz eksperckich, dominujących poetyk – próbuję skorzystać z żywotności otaczającej mnie kultury i dodać do niej wybierane przez siebie akcenty. Pojemność, pragmatyzm, nastawienie na osobisty zysk, funkcje terapeutyczne charakteryzujące kulturę współczesną mogą wspomóc także tę, którą z przyzwyczajenia nazywam wysoką.

Różnicę pomiędzy literaturoznawczym doświadczaniem literatury (jeśli założę wstępnie, że nie chodzi o oksymoron) wczoraj i dzisiaj uświadomiłam sobie wracając pamięcią do końcówki moich studiów polonistycznych.

Skończyłam studia w Szczecinie, w momencie, gdy Wyższa Szkoła Pedagogiczna przekształcała się w Uniwersytet. Najintensywniejsze doznania młodo-naukowe wiązały się z kursem teorii literatury i z seminarium magisterskim. To, co było wówczas ważne i oczywiste – zdobycie „narzędzi” do operacji wykonywanych na tekście, początki rewizji kanonu, najpierw po 1945, z czasem historycznego, snucie opowieści wokół Wielkich Pisarzy i Autorytetów Naukowych, ale także zainteresowanie współczesnością (wielka zasługa moich nauczycieli, bo przecież edukacja szkolna lokowała pojęcie „współczesna”, tak jak i czyni to obecnie, w okolicy *Medalionów* i *Pożegnania z Marią*), wyrabianie nawyku życia literaturą pisaną obok naszego studiowania dzieł przeszłości – wszystko to uległo przemieszczeniu. Tak, nawet nawyk czytania równoległego niemal z poruszeniami rynku wydawniczego, dziś zintensyfikowany i doprowadzony do absurdu, bo nikt nie jest w stanie podążać z nurtem nowości; dziś ten nawyk zamienił się w konsumpcję.

W latach osiemdziesiątych rysowała się już alternatywa postmodernistyczna, jednak uczyliśmy się wciąż procedur formalistycznych, z przymieszką psychoanalizy traktowanej jako ekscytująca, niemal zakazana przygoda. Tak, poznałam nazwiska: Kristeva, Lacan, Derrida, Deleuze, prowokacją brzmiały tytuły książek niemieckich filozofów, lecz podstawę stanowił Sławiński, Łotman, Austin. Epoki trwały zamknięte w podręcznikach i zaczytywanych opracowaniach BN, ale były nam paradoksalnie bliskie, składały się w ciągi wytłumaczone raz na zawsze. Obcowaliśmy z autorami z pokolenia Kolumbów, dziś odsuniętymi na dalekie półki. Wykłady monograficzne poświęcone Jerzemu Andrzejewskiemu, rozbiórki Wilhelma Macha, kursy poezji współczesnej kończące się na latach siedemdziesiątych należały do najpopularniejszych. Rozmawialiśmy o iberoamerykanach, zaliczaliśmy kolokwia z Bachtina przemierzającego Dostojewskiego. Poetyki uczyliśmy się na Mironie Białoszewskim (jakże innym od dziś czytanego!) i Stanisławie Grochowiaku (jakże ostatecznie pogrzebanym przez dzisiejszych studentów, nawet tych wielbiących death metal, więc zacofanych). Wiedzieliśmy, co piszczy w prozie

Wyznania

rewolucji artystycznej. Pamiętam oczekiwanie na publikację powieści *Moskwa za trzy dni* Romana Wysogłada. Co to za pisarz? Jaką Moskwę chciał odwiedzić? Cemu pamiętam? O co w ogóle chodziło? Trudno sobie przypomnieć. Byliśmy na bieżąco, stanowiliśmy wierny oczywistym ideałom Klub Czytelników Elitarnych. Najchętniej podejmowane tematy prac magisterskich dotyczyły twórczości Witkacego, Schulza i Gombrowicza, bodaj w tej kolejności. Zaraz za nimi plasowali się Gustaw Herling-Grudziński i Czesław Miłosz.

Polonistyka jeszcze przed 1989 była podszyta rewoltą, stąd Witkacy, Schulz, Gombrowicz, Herling i Miłosz. Potem to się zakotłowało. Dziś mamy zdecydowanie zmienioną kolejność: Gombrowicz, Gombrowicz, Gombrowicz, Schulz, Witkacy, jeszcze czasem Herling, sporadycznie Miłosz. Przeglądam tematy prac magisterskich i w wyborach moich kolegów profesorów oraz ich uczniów widzę świadectwo zmiany.

Widzę coś jeszcze, dla mnie fenomenalnego. Tamta polonistyka, sprzed dwudziestu paru lat, naprawdę była światem bez kobiet. Nie chodzi nawet o spisy lektur, uwzględniające zaledwie pojedyncze autorki/dzieła, lecz o głębokie przeświadczenie o nienaruszalności stanu rzeczy, niezmienności hierarchii, oczywistości norm, powadze estetyk. Przemieszczeń można było dokonywać pomiędzy obiegami: oficjalnym, emigracyjnym i podziemnym. Rozmowa o Gombrowiczu nie otwierała jakiegokolwiek drogi na skróty ku pytaniom o tożsamość i płęć, pozwalała snuć aluzje polityczne. Od wątpliwej problematyki uciekaliśmy ku poetyce, widząc w tym wyzwolenie. Wracaliśmy do etyki i polityki, nieskażeni doświadczeniem osobistym. Płęć majaczyła na horyzoncie, uwidoczniła zaledwie jako incydent: bohaterki niektórych powieści nosiły kobiece imiona.

Na pewno upraszczam, gdyby jednak wyłożyć na stół prace magisterskie z tamtego czasu i te napisane w ostatnich latach, widać byłoby zmianę idącą przede wszystkim przez problematykę płci i tożsamości. Wówczas: kobieta fatalna w prozie epoki młodej polski. Dziś: fatalne użycia kobiet w prozie Młodej Polski. Ta zmiana oddaje wszystkie pozostałe zmiany zachodzące w świecie zewnętrznym, poza akademickimi murami. Walka o przełamanie paradygmatów toczy się w bibliotece i w społeczeństwie. To więcej niż kolejna odmiana pragmatyzmu, raczej dowód żywotności literatury i jej poddanych, do których zaliczam samą siebie.

Studenci wybierają dziś tematy pozwalające im zapytać o ich własne „ja”, o sprawy i metody powiązane z jednostkowym, czasem zbiorowym, doświadczeniem. Witold Gombrowicz, numer jeden w nowym kanonie, wydaje się młodszym bratem Mariana Pankowskiego, będącego młodszym bratem Michała Witkowskiego. Schulz przestał być polskim Kafką i magiem prozy, stał się ofiarą Zagłady. Witkacy bywa „postmodernistą”, ale częściej krytykiem konstruktów społecznych i mizoginem. Nawet tak zlustrowani – nie tylko oni trzej – są w mniejszości. Studentki piszą dziś o pisarkach, studenci szukają patronów gier tożsamościowych, modne stały się tematy lokalne. Ta zmiana zainteresowań indukowanych zarówno aktywnością nauczycieli akademickich, jak i potrzebami studentów, dostarcza pierwszej odpowiedzi (a może tylko podpowiedzi) na pytanie „czym jest literatura”?

Oczywiście, odpowiedź ta będzie uproszczeniem. Od początku mojego zawodowego czytania obsesyjnie zaznaczam zręby własnej metody i własnego położenia, wyciągam daleko idące wnioski z postulatów podejrzliwości, uznając tę postawę za wynik przejścia przez roгатki poststrukturalizmu. Nie mogę ukrywać: z feminizacji perspektywy wynikają korzyści i kłopoty. Podejmowanie tematów bliższych adeptkom i adeptom filologii polskiej jest spowodowane nie tylko uczłowieniem dyscypliny, ale też obniżeniem poziomu wymagań, wymuszonym obniżaniem poziomu możliwości. Nie zawsze, często. Podupadanie nie wynika z feminizacji, feminizacja nie jest symptomem popkultury – obniżenie lotów, ekspansja popkultury, feminizacja, obrona twierdz zachodzą jednocześnie. Nie wyciągamy łatwych wniosków. To prawda: studentki w nieskończoność chcą pisać o macierzyństwie, miedląc te same utwory literackie i artykuły teoretyczne. Tak, profesorka wyznaczająca genderowy kierunek lektury musi zawalczyć o jej poziom, podkreślić tembr pytań ponad pułap potocznego doświadczenia, wypierającego „wiedzę o literaturze”. Wszyscy musimy zrozumieć, że nie da się uciec od pytań z dziedziny „wiedzy o życiu”. Nazwijmy je perspektywą antropologiczną, zgoda, w praktyce chodzi jednak o to, że włączamy w tok myślenia podmiotową perspektywę czytających i wspólnot, z których się wywodzą. Z tym się musimy zmierzyć, to jest kompletnie nowe, fascynujące, obiecujące i trudne: literatura przestała być przedmiotem badania, stała się współniczką naszego doświadczania świata i siebie. Wróciła do źródła – można powiedzieć – bo przecież powinna być towarzyszką człowieka, nie zadaniem zajmującym wyspecjalizowane ekipy ubrane w skafandry ochronne. Tak zobaczona, w odzyskanej, pierwotnej postaci, musi wrócić do swej funkcji etycznej, a więc zrzucić z siebie ochronny płaszcz niezachwianego autorytetu.

Studenci dziś biorą z literatury to, co odpowiada ich potrzebom. Początkowo takie otwarcie – od tekstu ku sobie – miało miejsce na seminariach feministycznych, podczas konferencji inicjowanych przez ruch kobiecy, na ćwiczeniach z kreatywnego pisania. Obecnie stanowi, użyję żargonu, *mainstream* uniwersytecki. Nie tylko studenci, także wykładowcy, w tym najwybitniejsi, przyznają się do osobistego obcowania ciałem z literaturą. Sprzyja temu odsłonięciu zainteresowanie autobiografizmem, nowym historyzmem, neopsychoanalizą i jej krytyką, postkolonializmem.

Dwadzieścia lat temu, kiedy pisałam pracę doktorską, potrzebowałam pojemnej ramy dla tematu. Przeglądałam książkę *Kresy w twórczości Włodzimierza Odojewskiego. Próba feministyczna* i widzę, że kresy są ornamentem, metodologia pretekstem. Praca wydaje mi się dziś niejawną autobiografią czytelnicy. Niejawną, bo warunki, w jakich powstawała były konspiracyjne. Dziś pomagałabym doktorantce, która chciałaby obronić swój tryb lektury, swój, powiedzielibyśmy aktualną frazą nowomowną „projekt czytania”. Uważam bowiem, że tylko doinwestowanie osobistego zaangażowania w literaturę może uratować literaturoznawstwo przed roztopieniem się na ruchomym marginesie kultury globalnej. Marginalizacja, której doświadczamy mimo podejmowania dialogów z dziedzinami pokrewnymi, przyjmowania na siebie wyzwania – a to kulturoznawczych, a to komparatystycznych, a

Wyznania

to socjologicznych – każe szukać nadziei w prywatyzacji perspektywy. Chciałabym wobec tego zachęcić każdą studentkę, każdego studenta do czytania we własnym imieniu i na rzecz samego siebie, dając im własny przykład. W ten sposób korzystam z egoistycznego impulsu płynącego z kultury masowej: potwierdzam ważność korzyści jednostkowych, schodzę z interpretacją do czytelnika, pokazując samą siebie zaczytaną, w częściowo prywatnej roli. Nie bronię na siłę autorytetu akademickiej rozbiórki tekstu.

To kłopotliwe wezwanie do praktykowania radykalnej prywatności w uniwersyteckiej sali stoi w sprzeczności z założeniami metodologii odpowiedzialnych za przewrót kopernikański dzisiejszego literaturoznawstwa i samej literatury. Wymieniając te style interpretacyjne, które sama uważam za istotne: feministyczny konstruktywizm, *gender studies*, *gay-lesbian studies*, nowy historyzm, postkolonializm, krytykę etyczną, psychoanalizę – nie mogę pominąć ich wspólnotowych założeń. Istotną częścią proponowanych przez nie operacji jest bowiem przejście od hermeneutyki tekstu ku socjologii literatury, opisowi zbiorowych fantazmatów, pragnień, celów. Warto jednak pamiętać, że wytwarzane przez te założenia metodologiczne wspólnoty mają mniej formalny charakter niż te, które fundowały „prawdę”, „naród”, „uniwersalny podmiot”, a nawet te, które odwoływały się do grup wtajemniczonych, jak gremia uniwersyteckich ekspertów gotowych aplikować do poezji pisma Jürgena Habermasa. Te wspólnoty, które mam na oku, mają mniej pewności siebie, są doprawdy mgławicowe i sięgają zawsze w końcu do potocznego, pojedynczego doświadczenia. Grupują się raczej w poczuciu niedoli niż z potrzeby sprawowania władzy. Trzeba je wspomóc, przypominając, że pisywano niegdyś „ku pokrzepieniu serc” – ja bym dodała „ze środka ciemności” – a więc dla każdej, dla każdego, nie zabraniając wstępu nikomu.

Rościągam ten obraz „liberalizacji” metodologii, instytucji literaturoznawstwa, samej literatury, nie zapominając o wspomnianych już zagrożeniach. Tak jak w literaturze dominują gatunki lekkie, w krytyce „quotes” (szczyt postmodernistycznego wyrafinowania: cytaty pisane już jako cytaty, bez konieczności produkowania jakiegokolwiek całości), w dydaktyce impresje osobiste, tak książka literaturoznawcza może zmienić się w pamiętnik literaturoznawcy, a literaturoznawstwo w usługę na rzecz tożsamości. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby można było prowadzić spekulacje przynajmniej kilka centymetrów nad ziemią. Niestety, dyskursy tożsamościowe sprowadzają często refleksję nad sztuką do banału. Mam takie dydaktyczne doświadczenie – studenci poproszeni o napisanie „swobodnego eseju” rzadko wywiązują się dobrze z zadania. Łatwiej im wypełniać gotowe ramy, iść od przypisu do przypisu, cytować cudze sądy. To, co z założenia najciekawsze – ich opinia – potrzebuje wsparcia. Częściej dochodzą do interesujących wniosków, gdy muszą pokonywać skostniałą formę „tekstu naukowego”. Prywatna interpretacja wydaje im się miejscem pojemnym, przyjmującym nieistotne impresje. Czasem zresztą z tych nieistotnych wynikają istotne, niestety trudno do nich dotrzeć.

Podobnie zagrożenie niesie impresyjne literaturoznawstwo, otwarte empatycznie na tekst/autora/problemy wspólnot i na potrzeby interpretatora. Otwarcie

powiem, że spełniając funkcje terapeutyczne, literaturoznawstwo dzisiejsze tyleż trafia w sedno, ile schodzi na manowce. Rzadziej parodiuje twardą naukę, ale i częściej bywa bezwartościowe w kontekście innym niż jednorazowy akt lektury. Trudno przy tym wyznaczyć granicę, poza którą prywatna perspektywa oznaczałaby wypadnięcie za burtę statku z napisem „wiedza o literaturze”. Tym trudniej, że otaczające ten statek wody to i literatura, i krytyka, i życie.

Mam nadzieję, że kurs jest mimo wszystko właściwy. Fenomen literatury polega na tym, że nie pozwala nam ustać w interpretacjach, przymiarkach, parafrazach oraz na tym, że jest z nami i nie daje się zniszczyć, unieważnić. Możemy wobec tego zmieniać listę pytań, przeformułowywać cele, a i tak istotą naszych działań pozostanie splot relacji tekstów i życia, historii i terażniejszości, prawidłowości społecznych i przekroczeń norm, języka i podświadomości. Ważne jest pogłębianie, nie zaś spłykanie naszych relacji z literaturą.

Zmiana, od której opisu w tym tekście wyszłam, zachodzi także poza uniwersytetem, poza szkołą. Widać ją w funkcjach przypisywanym pisarzom, bibliotekom, narracjom. Literaturoznawca musi to rozumieć. Pogłębianie jest robotą, którą wizualizuję dla siebie jako rodzaj wykopalisk na pustyni – odgarniam piasek, ale zaraz mam przysypane ręce. Szukam właściwej techniki, stosuję szalunki. To, co ważne, kryje się pod spodem, z boku, może i dalej, poza drażoną głębią, całkiem płytko, na powierzchni, albo w wykopie zrobionym obok, przez kogoś zupełnie innego. Nazywamy to zwykle interdyscyplinarnością.

Żadna z wymienionych przeze mnie do tej pory metod nie da się pomyśleć poza wymianami perspektyw, każda spełnia wymóg interdyscyplinarności, składania do ujęć komparatystycznych, korzysta chętnie z metafory zmaczenia. Coraz częściej też metody zainteresowane życiem tekstu w świecie dają się pogodzić z pytaniami o życie wewnętrzne tekstu, biografizm dotyczy autora i czytelnika, komunikacja nie wyklucza metafizyki. Jedyną poważną nauką wyniesioną z dyskusji teoretycznych ostatnich dwudziestu lat jest dla mnie przekonanie, iż należy unikać wszelkiej ortodoksji. Trzeba szukać nie tyle kluczy do tekstów, ile pytań, które mogą zasilić życie literatury i literaturoznawstwa. Zestaw tych pytań powinien pozostawać ruchomy, warto stawiać na eksperymenty.

Planuję jeden z takich eksperymentów, radykalną krytykę feministyczną. Gdyby zredukować historię literatury do dramatów, poezji, prozy kobiecej, robiąc tylko kilka wyjątków, ustanowić kanony estetyczne i hierarchie wartości na podstawie cech wyszukanych w tak zestawionej bibliotece, a potem zapytać o całość? To oczywiście pomysł na powieść akademicką, ale czy nie postępujemy podobnie uprzywilejowując którykolwiek składnik kultury? Czy nie tak czyni Harold Bloom, uznając Szekspira za najważniejszego pisarza świata? Tryb negocjacji seminaryjnych polegający na odwróceniu proporcji opisuje wielu badaczy, na przykład Martha Nussbaum, pokazująca otwarcie amerykańskich uniwersytetów na pytania zadawane z perspektywy postkolonialnej czy feministycznej. Załóżmy, że dla tradycji środkowoeuropejskiej Szekspir jest zaledwie tłem, pogłosem. Dla pisarek dwudziestolecia międzywojennego formuła powieści politycznej nie stanowi obowią-

Wyznania

zującego wzoru. Dla geja saga rodzinna to nieistotna alternatywa. Ja, uprawiając krytykę feministyczną, zdaję sobie/zdaję innym sprawę z założeń początkowych i jestem gotowa podjąć negocjacje. I spodziewam się podobnych ofert.

Abstract

Inga IWASIÓW
University of Szczecin

Negotiations Concerning Literature

A reply to the questionnaire on the occasion of the 20th anniversary of Teksty Drugie: my personal views on literature, literary studies and other issues of consequence.

A postulate to practise radical privacy in the university classroom: only the investment of one's own personal engagement in literature can hope to save literary studies from marginalisation and from getting assimilated within a global culture.